Nr. 2 Rok 3 Kraków, dnia 11 stycznia 1942.

Ilustrowany KURJER POLSKI



BOGATY POŁÓW PRZY ROZSADZANIU MINY

...ski poławiacz min rozsadzał na chińskiej rzece Jang-tse-kiang minę pływającą. Na skutek eksplozji ogłuszone zostały ryby znajdujące się w tym miejscu. Załoga poławiacza wzbogaciła w ten sposób swoje zapasy. Ryby były tak ogłuszone, że wystarczyło sięgać tylko ręką po nie, wypłynęły bowiem na powierzchnię.



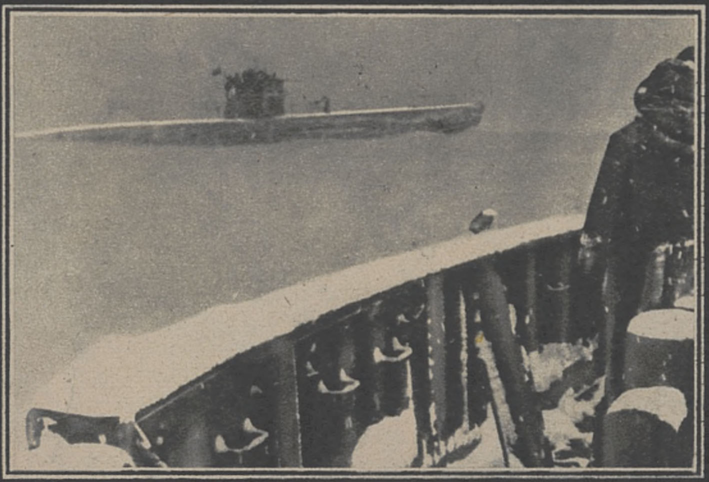
ŻOŁNIERZE „BŁĘKITNEJ DYWIZJI" OCZEKUJĄ ATAKU BOLSZEWICKIEGO

W zasypanym śniegiem rowie strzeleckim stoją ochotnicy hiszpańscy przy swych karabinach maszynowych, aby odeprzeć atak Moskali, którzy przyczaili się naprzeciw w lesie.



FIŃSKI PUNKT OPATRUNKOWY ZA LINIĄ FRONTOWĄ W KARELII

Z niezachwianą decyzją i pewnością zwycięstwa prowadzą Finnowie walkę o wolność swego narodu z bolszewizmem. Powyżej widzimy, jak fiński oddział sanitarny udziela pierwszej pomocy rannemu usuniętemu z pierwszej linii frontu w bezpieczne miejsce.



MIMO BURZ ZIMOWYCH — W DRODZE NA NIEPRZYJACIELA

Wśród gęstej zamieci śnieżnej spotyka się okręt niemiecki z niemiecką łodzią podwodną na Morzu Lodowatym Północnym. Łódź podwodna poluje tu na konwój sowiecki.



Na prawo: CZOŁGI SOWIECKIE ZNISZCZONE TUŻ PRZY STANOWISKACH

Niemieckie komunikaty podają stale, że ataki czołgów sowieckich na zimowe stanowiska niemieckie załamują się w gęstym ogniu obrony. Te oto czołgi sowieckie zostały zniszczone kilka metrów przed stanowiskami niemieckimi.



Na trzeci rok wojny

Żołnierze frontu wschodniego!

W roku 1941 w niezliczonych bitwach nie tylko oddaliliście przygotowanego do skoku wroga od granic Finlandii, Niemiec, Słowacji, Węgier i Rumunii, lecz odrzuciliście go o przeszło 1000 km z powrotem do jego własnego kraju. Jego próba odwrócenia losu w zimie 1941/42, by pójść znowu na nas, musi zawieść i też zawiedzie. Tak, będzie wprost przeciwnie. Wszystkie przygotowania w r. 1942 poczynione są w tym celu, by dostać na nowo tego wroga ludzkości i bić go tak długo, aż złamana zostanie w świecie żydowsko-kapitalistycznym i bolszewickim wszelka chęć niszczenia. Niemcy nie chcą i nie mogą być wciągane przez tych samych zbrodniarzy co 25 lat w wojnę o swój byt lub niebyt. A i Europa nie chce i nie może dać się ćwiartować wiecznie i jedynie dlatego, by kupka anglosaskich i żydowskich spiskowców w niepokojeniu narodów znajdowała zaspokojenie swych machinacyj handlowych. Krew, przelana w tej wojnie, ma być — to jest naszą nadzieją — ostatnią dla wielu pokoleń.

Niech Bóg dopomoże nam do tego w tym nadchodzącym roku!

Adolf Hitler

Wyjątek z rozkazu dziennego Führera i Głównodowodzącego do armii niemieckiej



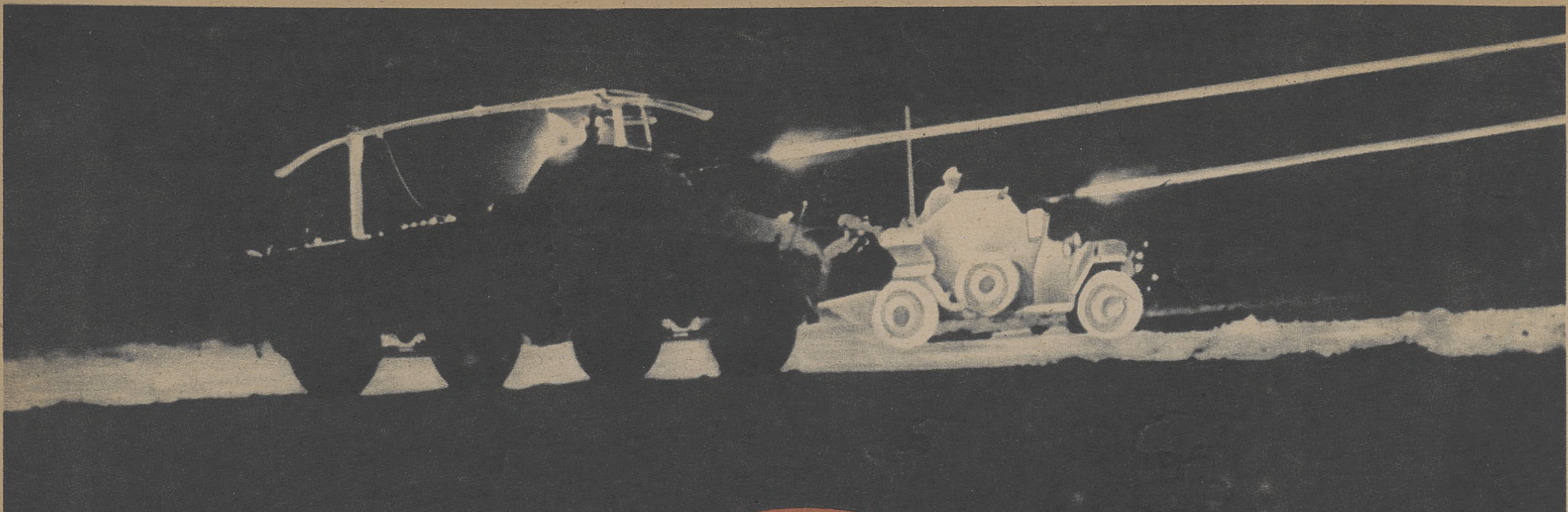
ADOLF HITLER W KWATERZE GŁÓWNEJ NACZELNEJ KOMENDY NIEMIECKICH SIŁ ZBROJNYCH



Fot. Scherl 5, Atlantic 1

ZASKOCZENIE CZUJKI BOLSZEWICKIEJ

Czujka bolszewicka która niespostrzeżenie chciała podsunąć się pod stanowiska niemieckie została zaskoczona przez patrol niemiecki. Niemiecki sprawozdawca wojenny, który wraz z patrolem leżał w rowie, mógł uwiecznić właśnie moment poddawania się żołnierza bolszewickiego.



NOCNA WALKA AUT PANCERNYCH W PRZEDPOLU TOBRUKU

Nieprzerwanie wyrzucają działa niemieckich aut pancernych swoje pociski świetlne na oddziały angielskie, które składają się tu przeważnie z Nowozelandczyków i murzynów afrykańskich.



KONTRATAK NIEMIECKI I WŁOSKI

Przed frontową linią angielską! Leżąc płasko na ziemi odczekują żołnierze niemieccy aż skończy się morderczy ogień zaporowy Anglików, aby następnie, pod osłoną czołgów przejść do ataku.



W kole:
Żołnierz piechoty włoskiej w pierwszej linii frontu odbezpiecza ustami granat ręczny.

LIBIA — „TO WIELKI BŁĄD"

Pesymistyczne rozważania Liddel Harta w związku z sukcesami Japończyków

Anglia patrzy obecnie wstecz na rok, który nie przyniósł jej znowu nic innego, jak niepowodzenia. Przez cały rok wysyłała ona większą część swej produkcji zbrojeniowej i dostaw wypożyczonych lub wydzierżawionych od Roosevelta do Afryki północnej, aby użyć tam wszystkich sił dla zadania ciosu sprzymierzonym siłom Niemiec i Włoch. Oczekiwany i przez propagandę już naprzód obiecywany sukces jednak nie nastąpił. I obecnie muszą Anglicy stwierdzić, że to skoncentrowanie sił w jednym punkcie, zadało im w skutku jeszcze inny cios.

Liddel Hart przyznał w dziennikach południowoamerykańskich, że niespodziewane zwycięstwa japońskie na Dalekim Wschodzie należy przypisać nie tylko temu, że zawiodły tu brytyjskie i amerykańskie placówki, lecz i temu, że Anglia przesunęła znaczną część wojsk do Libii. Podczas gdy w tych walkach użyto licznych jednostek morskich i pozwolono walczyć wojskom nowozelandzkim i australijskim na pustyni, musiały ulec bazy Dalekiego Wschodu przewadze japońskiej.

„Był to prawdopodobnie wielki błąd" — uważa Liddel Hart.

Fot. Atlantic 3, Ass. Press



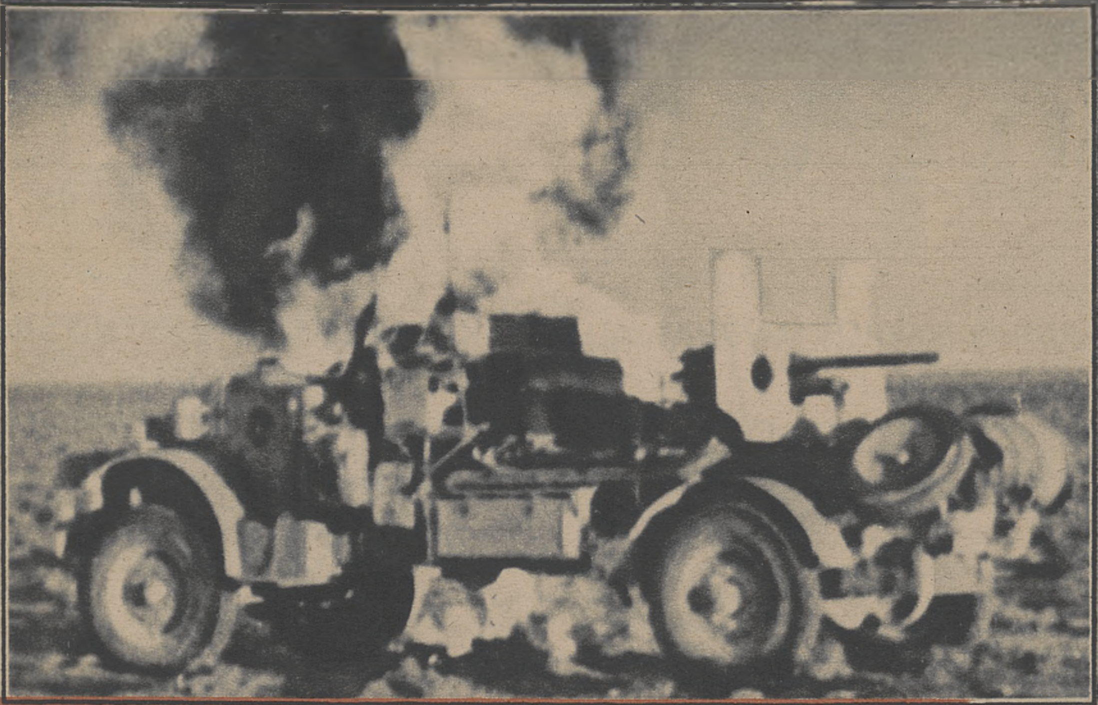
NIEMIECKI ODDZIAŁ WYWIADOWCZY POSUWA SIĘ NAPRZÓD

Wśród wysoko wzbijającego się piasku pustyni afrykańskiej posuwają się niemieckie czołgi prędko naprzód.

DZIEŃ I NOC WALKI W AFRYCE

PO BITWIE

ZNISZCZONY PRZEZ NIEMIECKIE POCISKI PRZECIWLOTNICZE
Angielski woz pancerny został trafiony w ogniu zaporowym artylerii przeciwlotniczej i pali się.





Poniżej: ODZNACZENIA ZA DZIELNOŚĆ
Oficer niemiecki udziela żołnierzom oddziału szperaczy, który właśnie powrócił ze skutecznej wyprawy, jednego z niemieckich odznaczeń wojskowych.

Fot. Atlantic 2 Ass. Press Weltbild

Na prawo: RANIONY W ZAŻARTEJ WALCE
Jeden z oficerów niemieckiego korpusu afrykańskiego obmywa twarz z kurzu i krwi, podczas gdy za nim wre dalej walka.





W DRODZE DO NIEWOLI
W walkach w Afryce północnej dostają się do niewoli żołnierze Imperium, przede wszystkim Nowozelandczycy i Australijczycy. Odwozi się ich autami ciężarowymi do obozu jeńców.



Piekło na Atlantyku

MAJTEK FRANCUSKI JEAN PERRET OPOWIADA O SWOICH WYPRAWACH NA KONWOJACH BRYTYJSKICH

Tłomaczył Maurycy Günther

1 ciąg dalszy

Kiedyśmy opuszczali „Meteor" zrobiliśmy najpierw trzy krzyżyki i spojrzeliśmy trochę bojaźliwie. Tym razem poszło jednak jeszcze dość gładko.

Jeżeli jednak ktokolwiek wyobrażał sobie, że teraz zacznie się znowu to hulaszcze i beztroskie życie, jakie prowadziliśmy w Lizbonie i Liverpoolu, ten się grubo mylił. Kampania w Polsce zakończyła się wynikiem zupełnie niespodziewanym i na tę wiadomość wydłużyły się wszystkie twarze w porcie. Co prawda wszyscy sądzili, że Polska była jedynym krajem, który nie chciał słuchać rad Anglii, ale jakkolwiek było, teraz leżała ona już powalona.

To co z nami potem zrobiono, nie było prawdopodobnie bezpośrednim następstwem tej wiadomości. Dość, że następnego dnia przyszła policja, by zabrać nas do kopania w piasku. Marynarza z krwi i kości zabierać do sypania piasku! Czy słyszał i widział kto coś podobnego?! Do budowania lekkich schronów, rowów przeciwlotniczych i uszczelniania piwnic. Naturalnie nie wysilaliśmy się zbytnio przy tej robocie. Zaczęliśmy też politykować i to więcej, niżby się to mogło przydać tym budowanym przez nas schronom, faktem jednak było i pozostało dla nas, że czuliśmy się jeńcami; a że to uczucie nie podnosiło nastroju wśród załogi, o tym zbytecznie byłoby wspominać.

Wieczorem trąbką strąbiono nas jak trzodę do obozu i wyznaczono godzinę udania się na spoczynek. Kiedyśmy podnieśli przeciw temu protest, starano się uspokoić nas. Starano się przekonać nas, że jesteśmy żołnierzami, a żołnierze powinni umieć stosować się do rozkazów swej władzy, powinni cały dzień odbywać ćwiczenia i sypać rowy. No, bywaj zdrów! Mogliśmy w takim razie były pójść do linii Maginota.

Ale rozpatrzywszy chwilową sytuację, — cóż mogliśmy właściwie w tej chwili począć? Dwóch spośród nas już zwiało, więc postawili nam przed drzwi wartę, która zaraz strzelała, gdy tylko ktoś zbliżył się do okna lub otworzył drzwi.

Ach, gdzie podziała się ta złota wolność, o której tyle śniliśmy i marzyliśmy? A przy tym — czym my właściwie teraz byliśmy? Albo się jest żołnierzem, albo się nim nie jest. Ale to coś nieokreślonego, to coś pośredniego między żołnierzem a cywilem, to się nam nie podobało. Kiedy jeszcze na dodatek jedzenie stawało się z dnia na dzień gorsze, kiedy skończyła się whisky i dzień po dniu stawał się coraz bardziej beznadziejny i monotonny w swej pracy, zaczęliśmy się na dobre buntować.

Nie wyobrażam sobie, do czego by mogło dojść wreszcie, gdyby pewnego dnia nie stanął przed nami człowiek, który przedstawił się nam jako nasz nowy kapitan. Był to jakiś młody człowiek, na pierwszy rzut oka junak, o usposobieniu trochę zawadiackim, i pyszałkowatym, ale przystępny i po ludzku do ludzi podchodzący. Zaraz na wstępie oznajmił on nam, że w ciągu następnych dni odpłyniemy. Dokąd, tego nam nie powiedział ale z miejsca zniósł ten system zakładu dla obłąkanych, gdzie kaftan bezpieczeństwa jest na porządku dziennym i dał nam urlopy a także dużo pieniędzy. Nikomu z nas nie wpadło na myśl co te piękne gesty miały oznaczać. Najważniejszym dla nas był fakt, że mogliśmy wyjść znowu. Yes, sir, że wyszliśmy, to pan może sobie wyobrazić. Po tym więzieniu! Było to jakby pożegnanie się ze światem... nie, najpierw jeszcze powrót do niego!

Było nas piętnastu ludzi załogi, Irlandczyków, Francuzów, Belgów, Holendrów, Duńczyków i Norwegów, jeden w drugiego tak samo dobry jak i zły. Żadnego z nas nie obchodziła wojna. Ta przeklęta wojna! Ach, gdybyśmy tylko znów poczuli deski pod nogami! O ucieczce nikt z nas na razie nie myślał, gdyż gorzej niż na lądzie nie mogło się nam wieść na okręcie. A kiedyśmy jeszcze zasiedli w barze „Old Scotch" i zaczęli delektować się wisky, wszelkie złe zamiary rozwiały się, jakby je przegnał wiatr.

Na Jowisza! Ależ nam ta wódka smakowała! Co to za czarodziejski trunek!... Czy pan myśli że wtedy rozmawia się o wojnie? No, sir, co nas obchodziła wojna? Za kilka dni mieliśmy wyruszyć do Nowego Jorku i niedługo wrócić znów w konwoju. Tak w każdym razie obliczaliśmy. Rzucaliśmy więc pieniądze w lewo i prawo, jak gdyby leżały one w Southampton na ulicy. O pieniądzach także nie myśleliśmy. Jak nie będzie tych, to dadzą nam inne; dwa razy tyle co teraz, ach, nawet trzy razy tyle co przedtem. Można więc było bez żalu rzucać dziesięciofuntówkami.

Jean Perret przerwał nagle: — O widzi pan? — rzekł wskazując palcem na marynarza, który rozwalał się na krześle i w tej chwili zapalał właśnie papierosa banknotem dziesięciofuntowym. — Do tego wtedy jeszcze nie doszło. Można było przynajmniej kupić jeszcze coś nie coś za nie. A i zagranicą miał funt jeszcze swoje znaczenie, ale dzisiaj... wszystko się kończy... Nikt nie ma już szacunku dla funta. A spadnie on jeszcze niżej. Już dzisiaj patrzą na czarnej giełdzie z pogardą na ten pieniądz i uważają go za nie-do-sprzedania.

Człowiek z palącym się banknotem przechylił się w tej chwili w naszą stronę. Dopiero teraz spostrzegłem więc, że był to jakiś mieszaniec. A więc człowiek, który do niedawna miał do funta angielskiego wielkie nabożeństwo. A teraz zapalał sobie nim papierosa. „Goddam" powiedział „poniżej pięciu dolarów dziennie nie wypłynę więcej. Byłoby śmiesznym płynąć na pewną śmierć za Old England i kazać sobie za to płacić nędznym funtem, no, sir...

I zaśpiewał taką piosenkę:

> One pound? no, sir...
> Two pound? no, sir...
> Five dollar, that is a business...
> That's a thing, my dear...

A inni rycząc powtarzali za nim ten refren.

Wszyscy, którzy tu siedzieli, nie byli to marynarze dawnego pokroju, lecz poszukiwacze przygód, awanturnicy, którzy życie swoje chcieli sprzedać za cenę najdroższą, byli to gracze vabanque najczystszej wody. Kiedy się rejs udawał, przepijali swoje gaże w kilku dniach, a jeżeli się dało, to i podczas jednej nocy. Za każdym razem, kiedy szczęśliwie powracali na ląd przysięgali sobie, że jechali już ostatni raz i że za zaoszczędzone pieniądze rozpoczną nowe życie. Za zaoszczędzone pieniądze... Niestety, te oszczędności wystarczały zawsze tylko do następnej knajpy.

Im więcej zarabiali, tym bardziej pożądali pieniędzy, tym bardziej stawali się chciwi i łakomi. Przecież się im zapłaci — mówili — i znowu będzie się im tak dobrze wiodło. Pieniądze działały na nich jak opium, czar nigdy dawniej nie widzianych sum trzymał ich pod swym trującym urokiem. Żyli jakby w ciągłym oszołomieniu, w poszukiwaniu szczęścia. A kiedy nastrój ich — ten barometr ich powodzenia — dochodził do zenitu, wtedy ukazywał się pośród tego szanownego grona człowiek, który szczerząc do nich zęby, starał się wciągnąć ich w swoje interesy. Agent! Ale nie taki z dawnych czasów, z którym marynarze byli na „ty", nie taki o uczciwej twarzy, lecz jeden z tych, którzy namawiali marynarzy do nieczystych interesów i angażowali załogi na okręty z kontrabandą. Widziałem tę twarz już kiedyś. — O, niech pan popatrzy, teraz stoi on tam, widzi go pan?

I w rzeczy samej był to człowiek, który angażował załogi na okręty płynące w konwojach. — Gentleman, jak już panu wspominałem, wymuskany do ostatniego guzika. Jestem tylko ciekawy, gdzie Old England zbiera takich łapserdaków. Przedtem był to bowiem „cech" sam dla siebie. I takich ludzi trzeba było dopiero wychowywać. Przecież i łapania ludzi trzeba się najpierw nauczyć. Ale ten kawaler był zdaje się mistrzem w swoim fachu. Teraz mogła mu się sprawa udać jedynie dzięki temu, że wszyscy dokoła niego byli aż sztywni od nadmiaru ginu i grogu, który on naturalnie fundował. Także i nas chciał poczęstować.

Ale myśmy odmówili.

No i oczywista, wszyscy podpisali takie małe świstki, że znowu są gotowi pojechać do Nowego Jorku na okręcie pierwszej klasy. First class steamer! Ale tym razem tylko za gotówkę i to w dolarach! Funty, monsieur? Nie, to żaden pieniądz! To bankructwo!

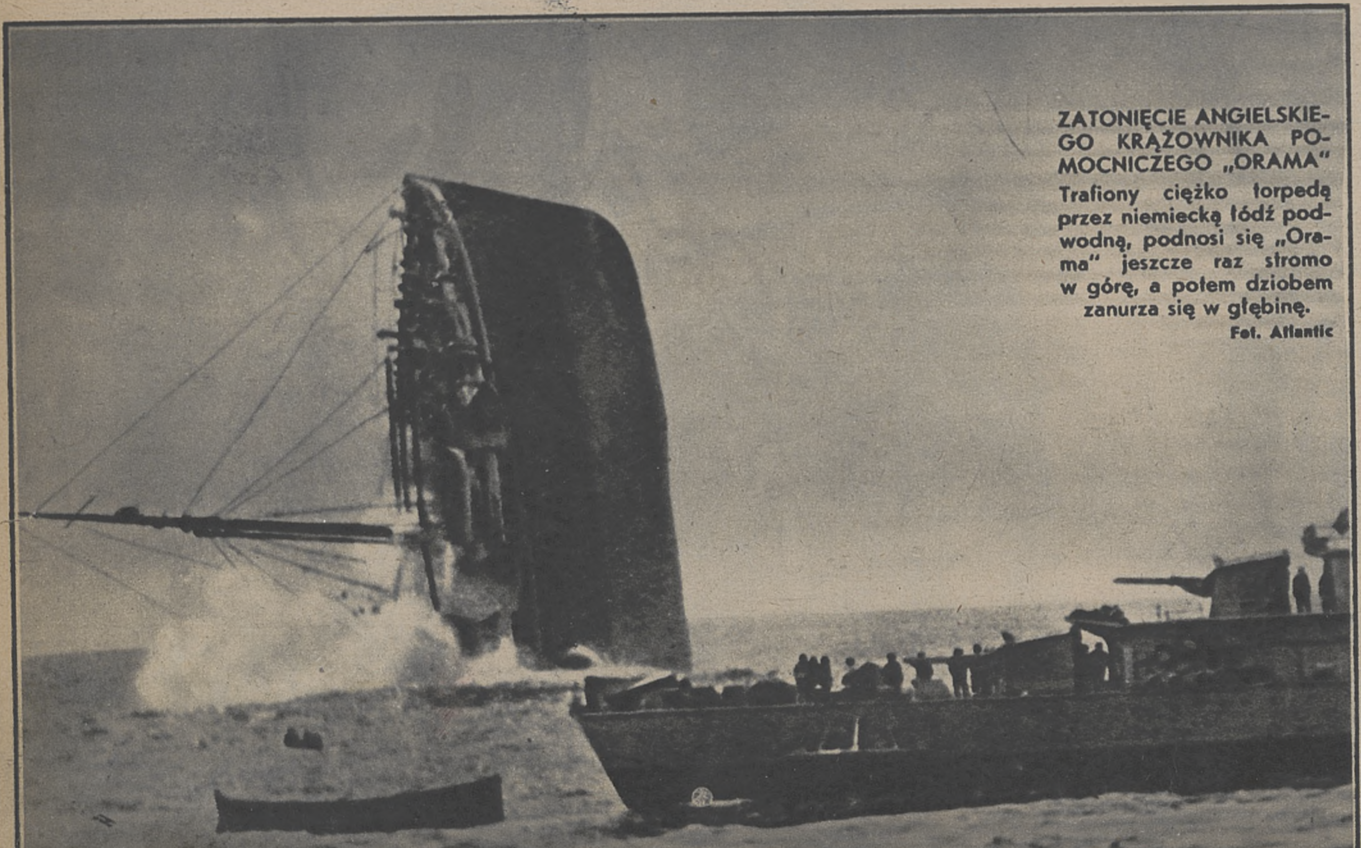
Gentleman z biura pośrednictwa dla konwojów był jak się okazało frantem kutym na cztery nogi. W ten sposób wciągnął na swoją listę wszystkich znajdujących się w barze marynarzy. Prócz Jean Perreta i mojej skromnej osoby... ale zgodę musiał zapłacić dolarami. Mina bardzo mu się z tego powodu wydłużyła, co można było zaraz zauważyć. Funty nosił on bowiem luźno w kieszeniach, tak jak inni noszą bilety tramwajowe. Łapanie ludzi w tym zadymionym barze stało się bowiem dobrym interesem dla niego. Przypuszczam, że od każdego złapanego marynarza otrzymywał on swoich pięć funtów. Ale prawdopodobnie obiecywał sobie jeszcze większe zyski po tym interesie.

W duchu widziałem już wszystkich tych ludzi wypływających dziś w nocy na tym ponurym okręcie z rzeki na Atlantyk i w Nieznane, z banderą Union Jack...

Kiedyśmy następnego wieczoru przestąpili znów „Bar pod Rekinem" było w nim już pusto i cicho, pewny znak, że marynarze, którzy mieli płynąć w konwoju podnieśli kotwicę jeszcze tego samego dnia.

— Na pańskie zdrowie — powiedział Francuz i podniósł kieliszek. Po czym podjął na nowo wątek przerwanego wczoraj opowiadania.

— Wypłynęliśmy z „Anną Boleyn", na morze. Był to porządny okręt, pojemności 5000 ton, żaden first class steamer, ale zawsze porządny, nie mieliśmy w każdym razie powodu narzekać na niego. Niektórzy byli co prawda zdania, że należałoby nazwę okrętu przemalo-



ZATONIĘCIE ANGIELSKIEGO KRĄŻOWNIKA POMOCNICZEGO „ORAMA"

Trafiony ciężko torpedą przez niemiecką łódź podwodną, podnosi się „Orama" jeszcze raz stromo w górę, a potem dziobem zanurza się w głębinę.

Fot. Atlantic

wać na inną i w ten sposób okręt przechrzcić, właścicielka tego imienia skończyła bowiem, jak wiadomo, na szafocie, ale kapitan nawet o tym słyszeć nie chciał.

Ach w ogóle ten kapitan! Najdziwniejsze w nim było to, że nie pił on żadnego alkoholu. Czy widział pan już kiedy porządnego kapitana który nie pije? No, sir, tego jeszcze dotąd nie było, a jeżeli się zdarzyło, to chyba dlatego, że był to człowiek, który nie miał wszystkich klepek w porządku. Wie pan, co on pił?... miętę!... miętę!

I jeszcze jedną dziwną cechę posiadał ten człowiek, który siebie nazywał kapitanem: już po dwóch dniach zachorował na chorobę morską, mimo że wiatru wcale nie było. Kapitan chorujący na chorobę morską! Słyszane to rzeczy?

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że człowiek ten nie należał wcale do ludzi morza. Musiał on być dawniej czymś zupełnie innym, może maklerem okrętowym albo malarzem okrętów, albo... czy ja wiem zresztą czym? Tylko nigdy marynarzem! Naturalnie — łatwo sobie pan wyobrazi, że nie mieliśmy dla niego żadnego szacunku. W takim razie lepszy już był ten ciągle pijany pastor, o którym panu opowiadałem, a z którym płynęliśmy do Norwegii. Ale ten elegant wymuskany? Nie była to dobra wróżba dla naszego 5000 tonowego pudła.

Kiedy się wiaterek uspokoił, — bo to był wiaterek, nie żaden wiatr — wyszedł znów na pokład i miał do nas długą przemowę. To się nam również nie podobało. Kapitan, który dużo gada, nie jest wiele wart. W trakcie tej przemowy poznaliśmy że miał on zamiar mówić z nami o polityce. Chciał nas nauczyć myśleć politycznie. Niech diabli wezmą całą, politykę! To ona przecież i ona tylko jest winna temu, że dzisiaj siedzimy na lodzie! Trzeba było więcej przedtem pracować a mniej politykować. Ale wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o tym, że wszystko tak ciężko pójdzie. Słuchaliśmy jednak, co nam chciał powiedzieć ten nasz kapitan.

— Boys, — wołał głosem, z którego można było zaraz poznać, że jego właściciel przyzwyczajony był do gadania — wiecie że płyniecie z misją polityczną. Zapłacą wam co prawda za to — i to dobrze zapłacą, ale jeżeli teraz jedziecie do Konstancy, powinniście uważać tę służbę za służbę zaszczytną, za obowiązek zaszczytny, który spełniacie dla Anglii i Francji...

Co on powiedział? Do Konstancy?... Ależ zaczęli wszyscy kląć! Przecież chcieli jechać do Nowego Jorku, niech by było nawet do Sidney, ale przecież nie do Konstancy! Służba zaszczytna — powiedział. Ten fałszywy kapitan. Służba zaszczytna, którą właściwie musieliśmy pełnić za darmo. Naturalnie w najbliższym czasie pozwolimy jeszcze przywiązać się do armat i dział.

I teraz dopiero zrozumieliśmy, kogo to i w jakim celu nasłali nam jako kapitana. Szanowny mister Buldey był po prostu mówcą ludowym, trybunem, wywoływaczem nastrojów, który o żegludze nie miał najmniejszego pojęcia. Ci, który go nam dali, przypuszczali prawdopodobnie, że nie będziemy zadowoleni z tego, że musimy jechać na Bałkany, kiedyśmy się przecież tak cieszyli na Nowy Jork. I właśnie on miał nas uspokoić. A w nas wrzało! Jak właściwie stała sprawa z tymi konwojami? Jak dotąd nie widzieliśmy jeszcze ani jednego, ani też nie słyszeliśmy niczego.

Niezadowolenie i bunt mieliśmy wypisane na czole, a mister Buldey — coś się we mnie otrząsa by nazywać kapitanem człowieka, któremu lekki wiatr napędzał morską chorobę i którego trzeba było pielęgnować jak dziecko w powijakach — otóż mister Buldey miał nam jeszcze więcej do powiedzenia. Kiedy skończył z tą zaszczytną służbą, wyjaśnił, że nie ma zamiaru obwijać rzeczy w bawełnę, lecz woli powiedzieć nam wszystko bez ogródek, porozmawiać z nami jak mężczyzna z mężczyzną. Mężczyzna z mężczyzną! On siebie nazwał mężczyzną! Ha, ha, ha!

— Co się znajduje w tych skrzyniach, które załadowane są na naszym okręcie — tak mówił dalej — toście pewnie już sami przewąchali. Nie mam też zamiaru zamydlać wam oczu. Załadowaliśmy na okręt amunicję, amunicję dla naszych sprzymierzeńców na Morzu Śródziemnym, w Afryce, w Indiach... żeby nie byli nieprzygotowani, kiedy nacjonal-socjaliści ich zaatakują. Co ja też powiedziałem! Zaatakują! Naturalnie, my ich przecież pierwsi zaatakujemy i podsuniemy się aż pod Wiedeń. Chłopcy, czy możecie wyobrazić sobie to święto i tę uciechę, kiedy znajdziemy się we Wiedniu? My we Wiedniu, inni w Berlinie. W Berlinie ci, którzy przyjdą od strony Norwegii, Holandii, Belgii i Francji.

Wówczas nie umieliśmy sobie, rzecz prosta, wiele pod tym wyobrazić. Jakby to też było gdybyśmy się znaleźli we Wiedniu. Mogło to być sobie bardzo miłe miasto, ale nie dla starego marynarza. Toteż mister Buldey czekał na próżno na oklaski. I pewnie po raz pierwszy zwątpił w swój talent krasomówczy, zwłaszcza w chwili, gdy ze wszystkich kątów pokładu rozległy się krzyki: New Jork, co jest z Nowym Jorkiem?

— Tam znajdziecie się jeszcze dość wcześnie — brzmiała odpowiedź naszego mówcy pokładowego. Najpierw przewieziemy amunicję do Aleksandrii, potem popłyniemy do Konstancy, aby zabrać stamtąd kilkaset ochotników polskich i przewieźć ich do Marsylii, skąd pójdą na front, aby wziąć udział w wielkim zwycięstwie na zachodzie. Teraz dopiero rozjaśniło się nam w głowach! Acha, to dlatego płynęliśmy na tak wielkim okręcie! Acha, więc najpierw transport amunicji a potem transport wojsk. I to wszystko bez konwojów. Trochę dziwnym wydawało się nam tylko to, że ci polscy ochotnicy — naturalnie musieli to być uciekinierzy — musieli objechać najpierw pół Europy, by dojechać na front, podczas gdy mister Buldey opowiadał nam, że weźmiemy udział w uroczystościach zwycięskich we Wiedniu. Po co więc mieli Polacy jechać najpierw do Marsylii? Byłoby przecież rzeczą dużo prostszą, gdyby wprost z Konstancy pojechali do Wiednia, by także wziąć udział w pochodzie zwycięstwa. Ale nie rozumieliśmy się na logice angielskiej naszego mówcy i nie siliśmy się też by go zrozumieć, nie miałoby to bowiem i tak najmniejszego celu. Wiedzieliśmy więc przynajmniej co nas czeka. Wiedzieliśmy także i o tym, że oszukano nas po raz drugi. Na świecie roi się od kłamstwa i oszustwa, ale żeby okłamywać ludzi, na których współpracę i pomoc jest się zdanym, tego ani ja ani wszyscy inni zrozumieć nie mogli.

Po południu zaczęto montować na pokładzie działa. Bawiliśmy się w uzbrojony okręt handlowy. Był to naprawdę zbyteczny środek ostrożności, Włosi pozostaną bowiem naszymi przyjaciółmi — tak w każdym razie przypuszczał mister Buldey — ale należy to już do dobrego tonu i w ogóle jest „rozkazem" towarzystwa okrętowego.

Na skrzyniach leżących na spodzie okrętu było napisane wielkimi literami „Old Scotch Whisky". A więc wieźliśmy skrzynie z whisky, w których żadnego whisky nie było i do tego mieliśmy kapitana, który nie pije. Nie mogło z tego nic dobrego wyniknąć. O tym byłem przekonany już pierwszego dnia, i rzeczywiście nie wiodło się nam dobrze.

Zaczęło się właściwie od tego, że Henry Siller, Irlandczyk o szerokich barach i rudych włosach włamał się do apteki okrętowej i zabrał stamtąd baryłkę rumu, przeznaczonego jedynie dla celów leczniczych. Zdrowi ludzie nie potrzebują bowiem według mniemania najwyższej władzy okrętowej żadnego rumu. I jeżeli kapitan nie pije, to i załoga powinna być skromna i pobożna jak mniszki. Ale „Anna Boleyn" nie była klasztorem i nie mieliśmy bynajmniej zamiaru zamieniać go też w ten szanowny przybytek.

Rum smakował nam doskonale a kapitan, och przepraszam mister Buldey, spostrzegł się dopiero wtedy, gdy jeden z nas zaczął śpiewać w swojej koji. To co śpiewał, uleciało mi dzisiaj już z pamięci, ale przysiąc mogę, że nie był to żaden chorał. A że w dodatku głos jego w niczym nie przypominał głosu śpiewaczki koloraturowej, zwróciło to uwagę mister Buldeya, który wkrótce zjawił się przy schodkach do kajut załogi w jedwabnej pidżamie i czerwonych pantoflach z pomponikami, i zaczął nadsłuchiwać. Przede wszystkim pachniało jednak podejrzanie rumem Jamajka a poza tym mister Buldey potknął się o pustą baryłkę i zjechał jak długi ze schodów. Irlandczyk podbiegł prędko, chcąc Buldeyowi pomóc powstać na nogi, ten jednakże fałszywie zrozumiał gotowość pomocy Irlandczyka i uderzył go swoją małą ręką w twarz. Wtedy Irlandczyk chwycił brytyjskiego mówcę ludowego po prostu za kołnierz, wyniósł go jak dziecko do szpitala okrętowego i zamknął go tam na klucz. Potem zeszedł z powrotem do nas i oznajmił nam, że odtąd on jest naszym kapitanem i że musimy go słuchać, gdyż w przeciwnym razie nie ręczy za nic.

Pierwszym rozkazem naszego nowego kapitana było, żebyśmy powrzucali skrzynie z amunicją do morza. Był to rozkaz, który aż nazbyt chętnie spełniliśmy, nie była bowiem przyjemną świadomość, że przez trzy tygodnie siedzieliśmy na wulkanie. Pierwszy i drugi oficer przyglądali się temu bez słowa. Byli na tyle rozsądni, by zrozumieć, że nie wyszłoby im na dobre, gdyby zaczęli knuć coś przeciw temu Irlandczykowi, który miał za sobą całą załogę, zwłaszcza gdy z apteczki okrętowej wydał nam jeszcze jedną baryłkę rumu.

Tej nocy powierzono M. Śródziemnemu 2000 skrzyń najlepszej amunicji angielskiej. Gdyśmy te produkty Vicker-Armstrong rozdzielali między ryby, znajdowaliśmy się według mych obliczeń w pobliżu Gibraltaru. Marynarze, kiedy sobie podpiją, są weseli jak dzieci, potrafią bawić się po królewsku. Szczególnie, gdy chodziło o taki wspaniały figiel jak zatopienie tej amunicji. Toteż było przy tym wesoło.

Obaj oficerowie nie brali wprawdzie udziału w tej akcji i pozostali w swych kajutach, przed którymi dla pewności postawiliśmy straże by uniknąć incydentów, ale z pewnością myśleli sobie, że ten akt gwałtu z naszej strony znajdzie w swoim czasie karę przed sądem morskim. Yes, sir, z pewnością tak sobie myśleli, w najbliższym jednak czasie mieli się trochę rozczarować.

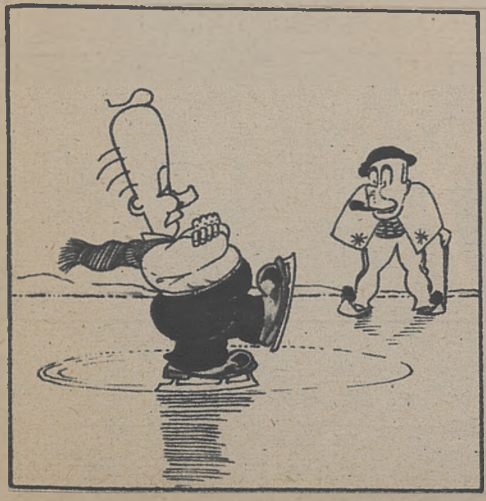
Wzięliśmy kurs w prostym kierunku na Konstancę, gdyż drogi do Aleksandrii zaoszczędziliśmy sobie już, wrzucając amunicję do morza. Życie na pokładzie zaczęło toczyć się swoim torem i wszystko posuwało się naprzód jak w zegarku, tak jak gdyby okręt nasz znajdował się pod dowództwem najlepszego w świecie kapitana. A mister Buldey siedział jeszcze ciągle w szpitalu i rozmyślał zapewne nad znikomością szczęścia ludzkiego na ziemi. Przez ten czas zmiękł jak wosk i to czego spodziewali się dwaj pierwsi oficerowie, wcale nie nastąpiło. Wprost przeciwnie. W Konstancy wyszedł on na ląd. Myśleliśmy że sprowadzi nam na kark policję i w ten sposób zemści się nad nami, ale jakoś nie zjawiał się prędko. Czekaliśmy najpierw jeden dzień, potem drugi, potem cały tydzień, a mister Buldey, kapitan „Anny Boleyn" nie wracał. Prawdopodobnie doszedł wreszcie do przekonania, że zawód kapitana jest stanowczo nie dla niego.

Wobec tego pierwszy oficer siadł z Irlandczykiem przy jednym stole i obaj zaczęli się naradzać nad tym, co należało teraz uczynić. W wyniku tej narady spisano protokół, z którego wynikało, że mister Buldey wyszedł dobrowolnie, przez nikogo nie przymuszony, na ląd i więcej nie wrócił. Prawdopodobnie wziął on sobie stratę ładunku okrętowego tak bardzo do serca, że popełnił samobójstwo. A co do ładunku, to według protokółu, musiano go wrzucić do morza z powodu pożaru, który wybuchł w kojach marynarzy. Z tym protokółem poszli obaj na ląd, po uprzednim zainscenizowaniu na pokładzie małego pożaru, aby alibi było gotowe. Policja, która nadeszła następnie wraz z nimi, przeprowadziła na okręcie dokładną rewizję i pozwoliła odpłynąć nam dalej. Na nasze szczęście, policja zaznaczyła również w swych aktach, że mister Buldey wyszedł na ląd z paszportem. Historia zatopionego ładunku amunicji była już sama w sobie dość tajemnicza, niepotrzebny więc był tu jeszcze szczegół, że znikł przy tym kapitan.

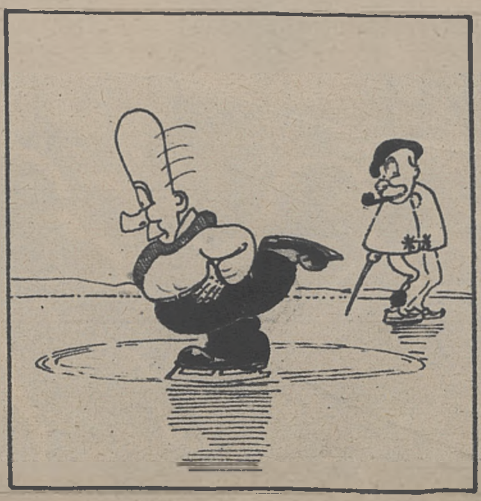
Nareszcie mieliśmy więc trochę wolnego czasu. Znalazła się więc zaraz i ochota, by zejść na ląd. A w międzyczasie nadeszła z Londynu instrukcja, że komendę nad statkiem miał objąć odtąd pierwszy oficer, prawdziwy zresztą żeglarz. Nikt się temu nie sprzeciwił. Nawet rudy Irlandczyk nie. A nowy kapitan, John Holliday, był na tyle rozsądny, że pogodził się z istniejącym stanem rzeczy. *Dalszy ciąg nastąpi*

KNOTEK ŁYZWUJE

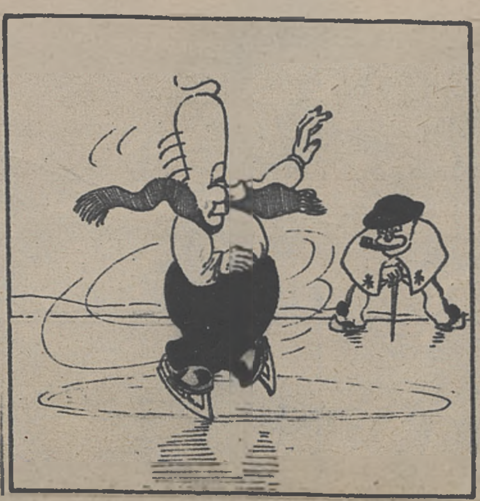
Rys. i tekst: Paw.



Knotek łyżwy chętnie wkłada,
Bowiem łyżwiarz zeń nielada.



Nic — holender, obrót w skoku!
(Motek go podziwia z boku.)



To kółeczko, to ósemka,
Aż się tafla staje cieńka.



Więc też po wyczynach wielu
Siada w wodzie jak w fotelu.

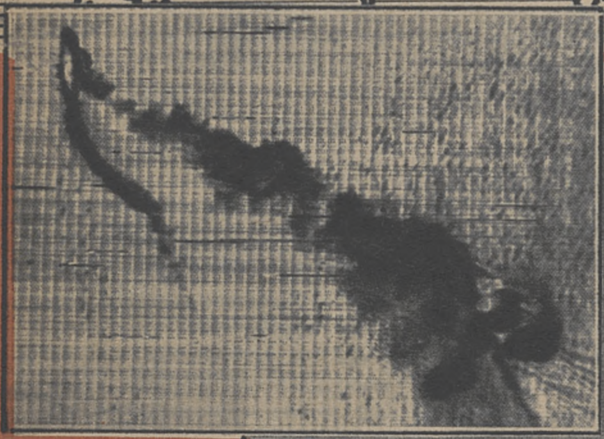




SPADOCHRONIARZE JAPOŃSCY PRZY ODBIERANIU ROZKAZU

Wojna na Pacyfiku

Dnia 2 stycznia obsadziły wojska japońskie Manilę na wyspie Luzon, na Filipinach, którą widzimy na naszej mapce. W ten sposób rozstrzygnął się los wysp Filipińskich, a wojska amerykańskie zostały pokonane.







PIERWSZE ZDJĘCIA ISKROWE Z WALK JAPONII NA PACYFIKU

Na zdjęciu górnym widzimy zatopienie obu angielskich okrętów bojowych „Prince of Wales" (na prawo) i „Repulse" (u góry na lewo) przez japońskie samoloty torpedowe. Zdjęcie drugie przekazane nam drogą iskrową przedstawia obsadzenie Hongkongu przez Japończyków i odprowadzenie jeńców angielskich.

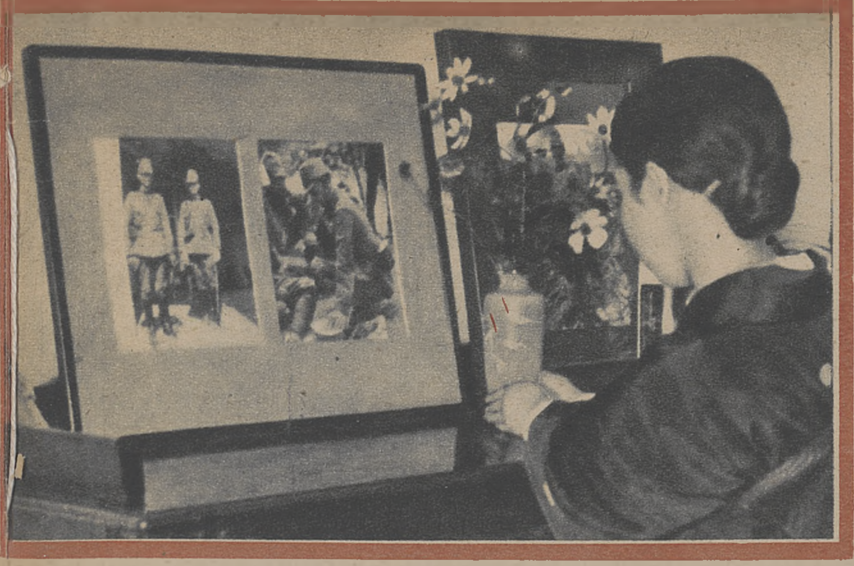
Zdjęcia iskrowe Weltbild

Fot. Scherl

NOWY ROK WŚRÓD ŻOŁNIERZY JAPOŃSKICH

Japończycy witają Nowy Rok nie z uderzeniem godziny dwunastej, lecz o wschodzie słońca.

JAPONIA CZCI PAMIĘĆ SWOICH BOHATERÓW



Poświęcenie dla ojczyzny uznaje Japończyk za najwyższe prawo. W duszy narodu japońskiego zakorzeniona jest wiara w wieczną łączność z przodkami i wiara ta jest w tym narodzie podtrzymywana. Dlatego też w każdym domu, gdzie ojciec lub syn oddali życie za ojczyznę znajdują się ich podobizny, które co dzień ozdabia się świeżymi kwiatami.



Samurajowie stanowią kastę wojowników Japonii. Jest to więc ta część narodu, która dawniej miała wyłączne prawo walki za ojczyznę i dobro jej narodu. Tradycję Samurajów uznają dzisiaj wszyscy Japończycy. Przecież każdy żołnierz stał się dzisiaj właściwie Samurajem. W tym też należy upatrywać przyczyn bohaterstwa i olbrzymich sukcesów tego kraju nad krajami anglosaskimi.



Oto żołnierze gwardii cesarskiej, elita wojsk Japonii.

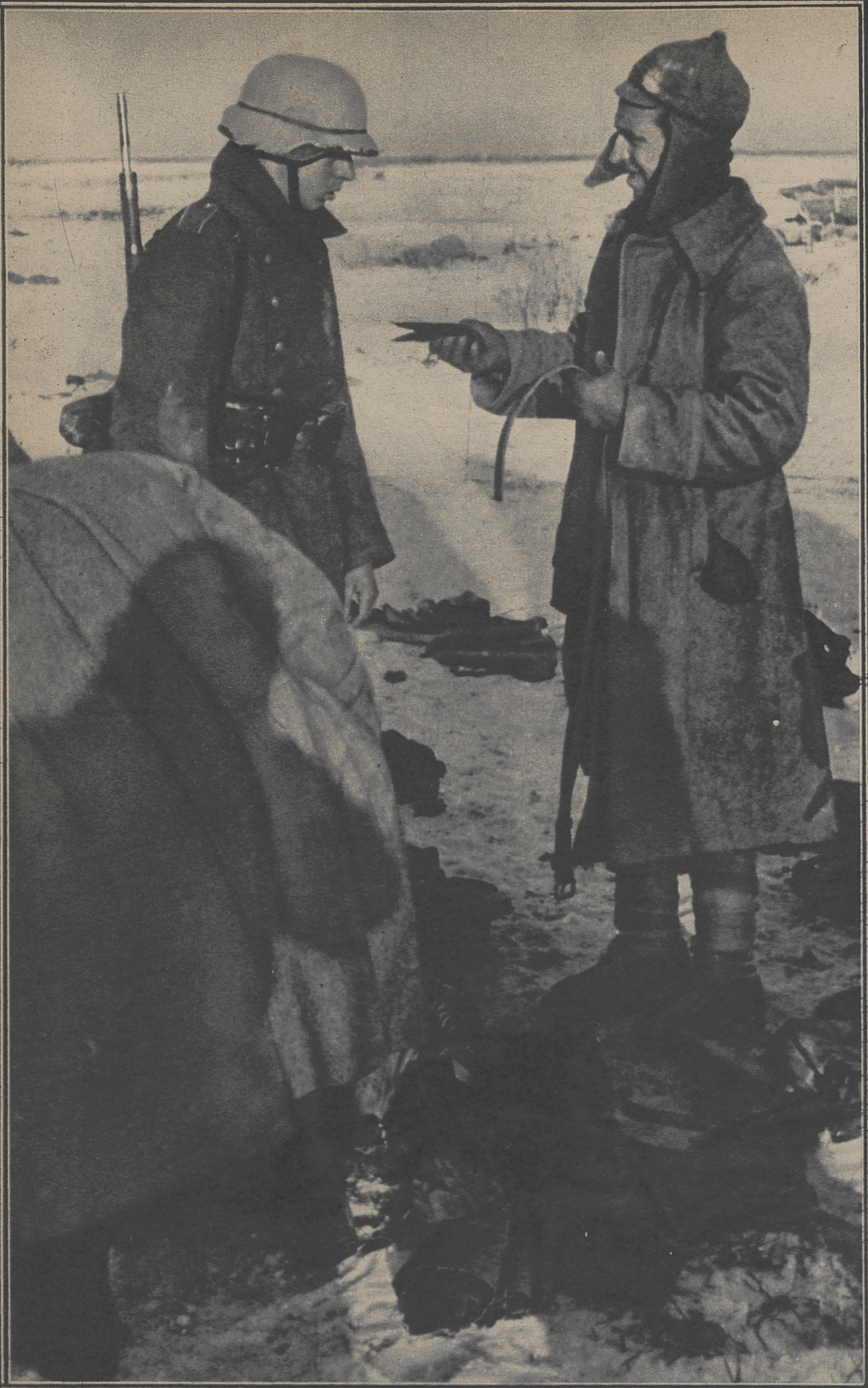


Chłopcy spieszący co dzień do szkoły skłaniają głowy przed słynnym pomnikiem wzniesionym ku czci bohaterów narodowych Kitagawa, Sakul i Enoshita. Ci trzej bohaterowie poświęciwszy własne życie wysadzili w powietrze jedno ze stanowisk chinskich i w ten sposób utorowali swym towarzyszom broni drogę do zwycięstwa.



W dnie przeznaczone ku czci poległych odwiedzają towarzysze broni pomniki bohaterów dając w ten sposób wyraz swej nierozerwalnej z nimi łączności.

Fot. Sig. Seller





NA KRÓTKO PRZED STARTEM!

Myśliwce niemieckie, które swymi nalotami nurkowymi biorą także udział w walkach obronnych na froncie wschodnim, czekają tu na rozkaz do startu.



HISZPAŃSKI ODDZIAŁ WYWIADOWCZY NA FRONCIE WSCHODNIM

Zamaskowani przed nieprzyjacielem białymi ubiorami, idą żołnierze hiszpańskiego oddziału wywiadowczego ze swoim oficerem na czele przez opuszczoną wieś bolszewicką.

BITWA SKOŃCZONA

Szczęk broni ustał i jeden z zaciętych ataków bolszewickich znowu się załamał. Teraz dopiero można obszukać jeńców, czy nie mają broni i amunicji.

Front wschodni pod lodem i w śniegu

Fot. Atlantic 2
Scherl 2



UDANE POLOWANIE W LASACH KARELII

Lasy Karelii przypominające raczej puszcze dziewicze, są pełne zwierzyny, zwłaszcza łosi. Żołnierze fińscy polują w chwilach wolnych na te zwierzęta. Na naszym zdjęciu widzimy jak żołnierze ciągną co dopiero upolowanego łosia do kuchni polowej. Bardzo pożądana odmiana [illegible] menu wojskowym.

GŁUPI

NOWELKA

Napisał Zygmunt Multan

Antek, Michał, Franek i Tomek — stale trzymająca się razem czwórka hultajska wioski — pędem wybiegli dnia tego ze szkoły powszechnej w Garbowniku.

Zajęcia szkolne oto już się skończyły. A na ostatniej godzinie lekcyjnej pan kierownik własnoręcznie powycinał im paski włosów w czuprynach na karę za nieposłuszeństwo poleconego już dawniej wszystkim chłopcom ostrzyżenia krótko włosów. Oni jedni tylko z całej szkoły polecenia tego dotąd nie wykonali. Za co właśnie spotkało ich to szpecące „oskalpowanie" głowy — jak je jednogłośnie nazwała cała gromada szkolna — przynaglająca do niezwłocznego już udania się do fryzjera, mającego swą rezure w pobliskim miasteczku.

Nie to wszystko stanowiło powód ich pośpiechu, z jakim wielce hałaśliwie opuszczali budynek szkolny.

Był właśnie kwiecień i wiosna czaiła się po wszystkich kątach. Na dworze rozwielmożniło się ciepło, jak nigdy jeszcze w tym roku. Pola i łąki dosłownie kąpały się w przypiekających już dość silnie promieniach słońca, a drzewa i krzaki poczęły stroić się w pierwsze zalążki pączków.

Wybiegłszy więc na drogę i zaczerpnąwszy pełnymi piersiami wiosennego powietrza Antkowi, Michałowi, Frankowi i Tomkowi wydawało się, że świat cały do nich należy, a słaby wietrzyk ciepły w ich mniemaniu jakby zdawał popychać do wszelkich swawoli.

Zaczęli tedy wiejskie nicponie od fiknięcia kilku potężnych kozłów w kierunku wiatru; po czym po udzieleniu sobie wzajemnie całej serii szturchańców, puścili się pędem ku szeroko rozpostartej nad niewielką rzeczką łące.

Zeszłoroczne resztki trawy dopiero przed kilkoma dniami zaledwie wychyliły się spod ostatniej warstwy śniegu. Sucho już jednak było na murawie i cała czwórka skierowała się na przełaj wprost ku rzece.

Dobiegłszy na jej brzeg chłopcy poczęli mocować się uparcie z nagimi badylami nadbrzeżnego sitowia i krzewów, wyrywając je i odłamując gałązki. Nic to, że pani przyrodniczka upominała niedawno całą ich klasę — by szanowali drzewa i krzaki i nie niszczyli gniazd ptasich, bo ptaki i cała w ogóle natura poza przynoszeniem pożytku ogromnie umila człowiekowi życie. Nasi hultaje zdawali się o tym jakby nic nie wiedzieć.

Zmęczeni wreszcie tą okrutnie niszczycielską robotą — pośród głośnych okrzyków i gwizdów zawrócili ku drodze wiodącej do wsi.

Przy drodze tej — oddzielonej od łąki sporym skrawkiem pola, a wiodącej z lasu ku chatom — stał samotnie na uboczu z dala od wsi budynek szkolny. Zrównawszy się z nim, opustoszałym już i zamkniętym, chłopaki postanowili zawrócić nagle w stronę lasu. Z dala bowiem dojrzeli dobrze sobie znaną sylwetkę mężczyzny, zamieszkującego w położonym pod samym lasem domku gajowego.

— Eee!... Chłopaki!... Zwardoń idzie!... — zakrzyknął wtedy najstarszy z nich, szesnastoletni Michał.

Zwardoń był mężczyzną w średnim wieku, krągłym szatynem średniego wzrostu i tuszy. Rozszalała powódź wojenna wyrzuciła go niedawno w tych stronach; gdzie zatrzymał się i zamieszkał w dość bezpiecznym ustroniu Garbownickiej gajówki.

Można było widzieć go — zwłaszcza w niedziele i święta — jak skromnie odziany w naciśniętym na głowę czarnym berecie baskijskim, przechodził przez wieś, kierując się szybko ku najbliższemu kościołowi w miasteczku, lub też jak stamtąd powracał.

Innym znów razem — przeważnie nad wieczorem — zwykł odbywać długie spacery po lesie. Wówczas też, ilekroć napotkał kogoś ze wsi czy też z pobliskiego miasteczka niemiłosiernie plądrującego lasy i kradnącego drzewo, zatrzymywał się i przemawiał łagodnie, iż nieładnie jest tak wytrzebiać las. Bo lasy — wyjaśniał — zatrzymują wilgoć; brak ich więc suszę i nieurodzaj sprowadzić może, a co gorsza przekracza się siódme przykazanie i ściąga z Góry karę, której przykładem jest właśnie i wojna obecna.

Ludzie, pomiędzy którymi była i znana nam czwórka hultajska z wiejskiej szkoły w Garbowniku — albo kiwali na te przemowy głowami, lub hardo się odgadywali, albo też wyśmiewali i drwili z politowaniem...

Zwardoń wszakże tym się nie zrażał i zwykł odzywać się w te słowa:

— Nie obrazicie się moi drodzy, ale... i tu wykładał rzecz krótko i dobitnie.

Nikt też z okolicznej ludności, która niemal wszystka brała udział w wytrzebianiu lasu — nie obrażał się, ani specjalnie gniewał na niego. Drażniło ich jednak to częste upominanie łapanych na gorącym uczynku. Nie wiadomo też czy wyłącznie dla tego, czy też i dlatego, że Zwardoń będąc biednie odziany miał wygląd trochę niepozorny — dość, że poczęły krążyć po wsi różne pod jego adresem wyzwiska, a między innymi i... „głupi".

To też chłopaki, ujrzawszy Zwardonia — wpadli w jakąś dziką uciechę. Szli wszakże początkowo ku niemu spokojnie, obserwując go z oddali. Podszedłszy zaś bliżej poczęli wydziwiać przeróżne miny pod jego adresem, potem popychać się tuż prawie pod jego osobę, aż wreszcie zrównawszy się z nim i wyminąwszy zakrzyknęli chórem: — Zwardonek!, głupi!...

Zwardoń, który już niejednokrotnie narażony był na podobne ataki — szedł równym i spokojnym krokiem z głową z lekka opuszczoną ku dołowi. Wzrok miał utkwiony w ziemię i zdawał się początkowo jakby nie widzieć chłopaków. W czasie tym chwilę jakby mocował się z sobą, czy warto w ogóle odzywać się do szukających zaczepki łobuzów. Przemogła wszakże myśl wychowawcza, że taką młódź wczesną upomnieć jednak należy.

Po ich okrzyku na twarzy Zwardonia odmalowała się bladość i z głębi wydobywająca się boleść jakowaś. Był bowiem działaczem społecznym gorąco kraj swój miłującym, nauczycielem dążącym do zapewnienia jasnej i szczęśliwej przyszłości narodowi — a tu oto także i młodzież ludowa, ten kwiat większości narodu tak nim niewdzięcznie poniewiera.

Ból, który teraz schwycił go jak kleszczami za gardło — zatrzymał go i kazał szybko się odwrócić. A wtedy oczy jego spoczęły najpierw na rozpostartym opodal krzyżu. Ujrzawszy straszliwym bólem skręconą, krwawym potem i łzami zalaną twarz Zbawiciela — zdawało mu się, że Ten przedłuża ku niemu i jakby wyciąga ręce w ramionach swego krzyża. Zwardoń widzi wyraźnie tępymi gwoźdźmi rozdarte dłonie — jak wzniosły się, aby... przebaczać. I Zwardoń wie już, co ma powiedzieć chłopakom.

— Chłopcy! — zabrzmiał łagodnie głos jego — wstyd zaczepiać przechodniów! Chodzicie do szkoły, do kościoła — więc wiecie, że naczelne przykazanie nakazuje miłować i szanować bliźniego, a szczególnie starszych.

— Ale nie głupiego! — odpowiedział hardo najstarszył Michał.

— Każdego!, a już opinia, czy kto mądry jest czy głupi, nie do wiejskich chłopców należy, co mogą nie być warci nawet butów jego ucałować.

— A bo ty masz buty?! — zakrzyknęło paru.

— Ach wy niedobrzy!, to ja do was przemawiam jak do ludzi, do waszych głów i serc się odwołując, a wy jednak nie chcecie uszanować!... I Zwardoń zwolna począł się oddalać zwiesiwszy smutnie głowę.

Chłopaki tymczasem spod lasu — który nagle rozbrzmiał cały głośnym echem: „głuuu...piii!..." — rozbiegli się na przełaj bruzdami przez pola do swych chat na obiad.

Zaraz po obiedzie wszyscy czterej kompani: Antek, Michał, Franek i Tomek spotkali się znów ze sobą we wsi, by się udać wspólnie do fryzjera.

Dobrze nad wieczorem wracali już bez czupryn na głowach z miasteczka — gdy w przydrożnym gaiku dostrzegli odpoczywającego na pniaku Zwardonia.

— Hee, Zwardonek!... głupii!... — rozległo się nagle wołanie w gaiku.

Wiatr porwał i niósł po polach hen daleko echo nieszczęsnego wołania. Głuu...pii!..., głuu...pii!.., — rozlegały się dookoła prześladowcze okrzyki. Wówczas na twarzy Zwardonia zaperliły się łzy i wolno spływać zaczęły mu po policzkach.

Piętnastoletni Franek, który przebiegał opodal ostatni — dojrzał je także u siedzącego bokiem Zwardonia i nagle jakby jakaś siła przemożna gwałtownie zatrzymała go przy drzewie. Stanął więc za nim przysłonięty grubym pniem jego i patrzał milcząco.

Nie był on złym chłopcem. Z gromadą wiejskich hultajów złączyła go tylko wielka żywość usposobienia. Łzy dojrzane teraz na twarzy Zwardonia poczęły niespodzianie i nagle zmiękczać jego bujną naturę. Przypomniał sobie dzisiejsze przedobiednie upomnienie Zwardonia — wypowiedziane do nich czterech — i zwolna zaczął uprzytamniać sobie, że podobnie właśnie mówił do nich ksiądz proboszcz w miasteczku na niedawnych rekolekcjach szkolnych.

— Kochane dzieci! — powtarzał wtedy proboszcz — pamiętajcie zawsze o tych głównych przykazaniach: Będziesz miłował Pana Boga nade wszystko, więc nad swoje własne życie nawet i choćby ci przyszło umrzeć — lepiej to, niż Stwórcę grzechem obrazić; oraz będziesz miłował bliźniego przynajmniej jak siebie samego, to znaczy nie będziesz mu czynił tego, co tobie nie miło. Macie więc miłować i szanować każdego, zwłaszcza starszych — czy bogatych czy ubogich, czy ładnych czy brzydkich, czy to dobrych czy złych, czy mądrych czy głupich — wszystkim jednako dobrze życząc, bo sąd, kto jakim jest nie do ludzi należy.

Franek słyszy to wszystko teraz ponownie tu w gaju jak przedtem w kościele i porównywuje z dzisiejszymi słowami Zwardonia. Widzi dalej przed sobą zbiedzoną jego postać i dostrzega wyraźnie łzy spływające mu po policzkach. I powoli zaczyna rozumieć wszystko... Waha się jeszcze nieco — ale już oto w jego prostej duszy młodocianej poczyna dokonywać się w tej chwili cudowna przemiana...

Spogląda na dobrze znany sobie gaik, który go zawsze tak cieszył i w którym tyle już radości doświadczył w gorące dni letnie — a teraz oto uświadamia sobie, że komu innemu nietylko nie jest w nim dobrze, ale nawet łzy po twarzy cieką. Przerzuca wzrok swój na szarzejące w dali chaty rodzimej wioski, wyszukując wśród nich rodzicielską, w której wyraźnie widzi pochyloną nad nim postać zacnej matki — przemawiającej doń często z sercem łagodnie, że Pan Bóg nakazał rodziców czcić, a w ogóle starszych szanować.

Podnosi wtedy oczy i patrzy na prześlicznie zaróżowione niebo, mieniące się pod wieczór właśnie całą gamą barw przedziwnych. Zachwyt ogarnia Franka — oczu oderwać nie może od tego widoku — więc patrzy wciąż w górę szeroko rozwartymi źrenicami. Wzrok jego po chwili — nie zatrzymując się już na misternie wśród szafiru rozlanym morzu różnokolorowych obłoczków — wybiega hen wyżej w dal nieprzeniknioną, wznosząc się ku Niebu gdzie przebywa Stwórca, Który wydał Swe piękne i tak mądre przykazania...

Nagle Frankowi zda się, iż widzi, jak pochyla się ku niemu łaskawie z niebiańskiego tronu Postać wielce przemożna w promienistej Swej chwale przewspaniała. W tej chwili cała dusza Franka przeistacza się i taje, a w piersiach jego budzić się poczyna nieznane mu dotąd, nowe a najpiękniejsze z uczuć ludzkich — otwierając w nim na oścież skruszone serce miłosierne...

Nogi jego zginają się i Franek klęka na ziemi ukryty za drzewem. Minuty upływają — a on wciąż trwa tak nieruchomo, wpatrzony w Niebo, jak zaklęty.

Wtem jak przez sen dolatuje go z oddali: „Franek zostaw głupiego!" — zniecierpliwione nawoływanie Antka, Tomka i Michała, którzy oczekując na niego rozsiedli się na skrawku trawy tuż za gajem. Ale Franek nie słucha, słów ich nie rozbiera, jak ledwo uchwytny zgrzyt odrażający wpadają mu one teraz do ucha — więc pochyla się oto bardzo nisko, bije w piersi jakby za nich i za siebie i szeptem żegna się. Po czym wstaje z klęczek i cicho bez szelestu podchodzi do Zwardonia:

— Przepraszam pana, — odzywa się żałośnie — to i ja byłem między tymi co pana wyzywali, ale już więcej ja z nimi nie będę. Wiem już i zrozumiałem co pan mówił dziś do nas w południe i czego ksiądz proboszcz nas nauczał. To nie pan, ale to my właśnie... to oni, ci co tam na mnie czekają, moi koledzy... są... głupi...

I skłoniwszy się Zwardoniowi zerwał się i biegł ku czekającym nań na skraju gaju swym towarzyszom, wołając zdala do nich — a echo za nim wokół powtarzało: — to nie pan Zwardoń, to nie on!, ale to my właśnie, to wy!, co zaczepiacie, nie szanujecie ludzi... jesteście... głupi...



UWAGA! FOTO-AMATORZY!

„KAPLICZKA W ZIMIE"

Bardzo miły, i pełen nastroju wiejski obrazek zimowy. Pierwszy plan doskonały. Fragment doskonale wybrany. Nadesłał p. Tadeusz Hendel z Krakowa, aparat Leica przysł. 9, czas [illegible] sek., godz. 11. przedpoł.

„SZARYTKA"

Bardzo dobra gra światła, doskonałe kontrasty, więc i światłocień dobry. Nadesłała p. Krystyna Kotik z Tarnowa, aparat. Brillant ze Skoparem 1:4.5.



U W A G A! DUR PLAMISTY!

STRZEŻMY SIĘ TYFUSU!

— A, dzień dobry, Janowa! Jak się macie? Jak się wam tam mieszka z tymi nowymi lokatorami? Opowiedźcież nam coś o nich, bo właściwie to ich nie znamy. On był przed wojną długie lata gdzieś w mieście, a ona podobno wróciła z robót z Rzeszy.

— Tak jest, to prawda. I bardzo zacni są ludzie, dobrze się z nimi mieszka, nieprędko można znaleźć tak dobrych ludzi i lokatorów. Tylko jedno mnie bardzo dziwi. Nie wiem czy chcą „państwo" udawać, że to niby długo w mieście mieszkali, czy takie już jakieś cudaki. Ona nic tylko wciąż pierze, myje, czyści. On jak tylko skąd przyjdzie, ręce myje i na dzieci krzyczy, że brudne — a mówię wam — czyściusieńkie są. Do żadnego jedzenia nie siądą, żeby wpierw rąk nie pomyli. Owoców ani jagód dzieciom nie dadzą, póki ich wpierw nie umyją. Mleka od krowy im matka nie da, dopóki nie przegotuje, wody się im napić nie da ze studni, tylko ją musi przegotować. Czyście słyszały kochane sąsiadki coś podobnego? Z początku to mnie śmiech brał, ale teraz to mnie to już złości.

— Co się tam dziwić przybyszom! Nie potrzeba daleko szukać, bo tu oto stojąca między nami sąsiadka Jędrzejowa to samo robi.

— Tak jest, robię to samo i robić będę i ze siebie śmiać się nie pozwolę! To wy powinnyście się wstydzić! Nie dość, żeście nic na świecie nie widziały i żyjecie w zacofaniu i ciemnocie, nie dość, że nie chcecie słuchać, gdy was inni chcą oświecić i pouczyć, to jeszcze śmiejecie się z drugich, którzy chcą zerwać z przesądami wsi, iść z postępem i wychowywać dzieci na zdrowych ludzi. Przykład z nich brać należy, a nie gorszyć się nimi.

— A skądżeście wy taka mądra sąsiadko Jędrzejowa?

— Owszem, powiem wam, jeśliście ciekawe, skądem taka mądra. Byłam w mieście w szpitalu posługaczką. Tam napatrzyłam się, nasłuchałam ile ludzi umiera przez tę właśnie waszą ciemnotę, brud i brak wszelkiego pojęcia o higienie. Zrozumiałam też ile można by uniknąć nieszczęść, gdyby się chciało postępować według zasad higieny. Choroby zakaźne w ogóle mogdyby zniknąć! Ale co tu do was mówić, kiedy wy nie wierzycie w bakterie, w zarazki, tylko trzymacie się starego przesądu: „jak ma żyć, to ta i tak będzie żył, a jak nie, to mu nic nie pomoże!" Ja dobrze rozumiem waszych lokatorów Janowa. Często teraz się słyszy o wypadkach tyfusu, który roznoszą żydzi, to największe na świecie brudasy. Wasi lokatorzy Janowa nie chcą, aby dzieci ich zachorowały na tyfus plamisty, dlatego je myją, czeszą, kąpią, zmieniają im często bieliznę. Tyfus plamisty roznoszą wszy, a to chyba wiecie, że wszy żywią się nie tylko krwią ludzką, ale także brudem i potem. U człowieka czystego wesz istnieć nie może, a zatem i tyfus plamisty. Zaś bakterie tyfusu brzusznego żyją we wodzie nieprzegotowanej i znajdują się często na owocach i innych artykułach żywności. Możemy je usunąć przez mycie i gotowanie. A gdy już gdzieś zaszedł ten nieszczęśliwy wypadek zachorowania na tyfus, to trzeba przy chorym zachować jak największą czystość, a będzie można zapobiec roznoszeniu się jej na inne osoby. Najlepiej oddać chorego do szpitala, tam go najlepiej wyleczą. Ja tych zasad trzymać się będę, choć byście niewiedzieć co o mnie powiedziały. No i cóż wy na to?

— Ano nic. Słusznie powiedziałaś, już żadna z nas się nie śmieje. Może i niejedna już w duchu przyrzeka sobie wziąć to do serca, tylko jeszcze tak nie wypada się otwarcie przyznać do tego.

Dla waszego i wszystkich dobra weźcie przykład z lokatorów Janowej.



UWAGA! DUR PLAMISTY!

Z książki dr. Josta Walbauma „Kampf den Seuchen" wydawnictwo Deutscher Osten — Krakau.

Fot. Weltbild — Knobloch

ZA WINĘ MATKI

— Augustynko, mieszkacie bliżej Banaków, nie wiecie, co się to dzieje u nich? Widzę, że wciąż doktorzy do nich jeżdżą — chyba ktoś zachorował. Spotkałam ją onegdaj i chciałam po ludzku przywitać — wyciągnęłam do niej rękę, a ona nie podała mi swojej, tylko coś mruknęła niewyraźnie i poszła.

— Tak moja kumo, dobrze myślicie, tam jest nieszczęście. Zachorował ich jedynak, Józio, na tyfus plamisty. Dom ich jest opieczętowany (zamknięty), bo to bardzo zaraźliwa choroba. Zrozumiała to już widocznie Banakowa i dlatego wam nawet ręki nie chciała podać. Dobrze zrobiła.

— Tak, rozumiem to kumo i boleję nad jej zmartwieniem. Ale powiedzcie w jaki sposób Józio mógł się zarazić? Przecież to jeszcze dziecko, nigdzie nie wychodził, w domu czysto, dostatnio, a we wsi wcale nie panuje ta choroba.

— Otóż w tym właśnie całe nieszczęście Banakowej. Sama winna wszystkiemu, ale zrozumiała to po niewczasie. Teraz głową o mur bije, krzyczy, modli się, przyrzeka poprawę ale czy to coś dziecku pomoże? Stan jego jest ciężki i Bogu tylko wiadomo, czy zdolają je utrzymać przy życiu.

— Jakże się to stało? Opowiedzcie!

— Ano, jak wiecie, Banakowa zawsze lubiła handlować z żydami. A teraz, gdy poszli do swojej dzielnicy, to wbrew zakazowi władz, stale tam chodziła i donosiła im to mleko, to masło, to ziemniaki. Żydzi płacili ile chciała, albo wymieniali różne stare rzeczy na prowianty. W ten sposób nabyła ubranko dla swojego Józia. Ładne było i nie zniszczone, więc Banakowa nawet go nie zdezynfekowała, a w ubranku znalazła się wesz. U żydów o to nie trudno. A gdzie wszy — tam i tyfus plamisty. Gdy lekarz wziął ją na spytki, okazało się, że w tym domu, z którego pochodziło zawszone ubranko Józia, był tyfus. Tak pomściły się na Banakowej nieuczciwość i chciwość.

— Rzeczywiście to jest okropne! Bo już sama choroba jest nieszczęściem, a cóż dopiero ta myśl, że sama matka temu winna i musi teraz patrzeć na męczarnie swojego dziecka. I jeszcze może na całą wieś zaraza się rozszerzyć!

— E, co to — to może nie, gdyż dom jest pod opieką lekarza, na drzwiach przybita kartka: „Tu panuje choroba zakaźna, wstęp obcym wzbroniony". Na wszelki wypadek i sąsiedzi zlewają ustępy wapnem.

— No, ale Banakowa chyba już nigdy handlować z żydkami nie będzie?

— Tak, na własne uszy słyszałam, jak przysięgła się, że noga jej w dzielnicy żydowskiej nie postoi więcej że chętnie zapłaci karę za niewykonywanie słusznych zarządzeń władzy — byle tylko Józio wyzdrowiał.

— Daj Boże, by wyzdrowiał —, by jej nie gryzło sumienie całe życie, że sama zawiniła. Choć wyzdrowieje Józio, będzie to nauczka nie tylko dla Banakowej, ale dla całej wsi, by stronić od żydów i nie sprowadzić sobie od nich znów jakiejś choroby.

Historia, którą opowiemy rozegrała się w Ameryce. Pewien motocyklista jadąc przez wieś wpadł na stado gęsi i przejechał jedną z nich. Ponieważ poczuwał się do winy, zeszedł z motocykla i ofiarował właścicielowi gęsi dwa dolary jako odszkodowanie. Wieśniak nie był jednak z tego zadowolony. Żądał on trzech dolarów za gęś. Za tą cenę będzie mógł motocyklista zabrać ją ze sobą. Ponieważ jednak ów nie wiedział co począć z gęsią, nie mogli się pogodzić i poszli do szeryfa, by ten rozstrzygnął ich spór. Szeryf zwrócił się najpierw do motocyklisty:

— Pan więc decyduje się zapłacić dwa dolary i zrezygnować z gęsi?

— Tak jest.

— Dobrze, niech więc pan położy dwa dolary na moim stole!

— A wy gospodarzu — zwrócił się następnie do wieśniaka — nie chcecie gęsi, tylko trzy dolary?

— Tak jest — odparł zapytany.

Sędzia wyciągnął swą sakiewkę z kieszeni, wyjął z niej jednego dolara, położył go obok dwóch dolarów na stole i powiedział do wieśniaka:

— Macie tu trzy dolary. Następnie zaś zwracając się do motocyklisty rzekł:

— Sprawa jest załatwiona, może pan odejść. A gęś ja zabieram. — Tymi słowy zamknął rozprawę sądową i zaniósł z triumfem gęś do domu.

ŚWIAT NA KOLOROWO

Porwanie narzeczonej nie stanowi na Bałkanach na ogół niezwykłego wydarzenia. Gdy rodzice sprzeciwiają się małżeństwu swej córki z wybranym jej serca, uprowadza on wtedy sprzyjające mu dziewczę, a gdy dziewczyna przebywa pewien czas w domu narzeczonego traci wszelką wartość w oczach innych mężczyzn za pełnym surowych obyczajów Bałkanie. Rodzice muszą wtedy z konieczności dać swoje zezwolenie.

W wielu wypadkach pragną rodzice jedynie tylko zaoszczędzić sobie wydatków na sprawienie wesela. Wtedy porwanie narzeczonej odbywa się w porozumieniu z rodzicami. Nikt ne może żądać później, by uwodzicielowi sprawiać jeszcze huczne wesele...

Zdarza się także, że tylko jedno z rodziców godzi się na wybór córki. W tym wypadku dopomaga sprzyjająca narzeczonemu strona bardzo często uprowadzić dziewczynę. Podobny wypadek miał miejsce w wiosce bułgarskiej Novi Han. Ponieważ ojciec zgadzał się na małżeństwo, a matka się sprzeciwiała, narzeczony porwał za zgodą ojca dziewczynę. Przy tym jak było w zwyczaju, strzelano w powietrze. Gdy przebudzona strzałami matka wychyliła się przez okno, było już za późno, uwodziciel był już w drodze do Sofii razem z narzeczoną i tylko kilku wyrostków z tej samej wsi, który mu pomagali, zabawiało się jeszcze strzelaniem na wiwat. Nieszczęście zrządziło, że jeden z tych strzałów ugodził matkę śmiertelnie.

W chwili gdy para narzeczonych stała już przed ołtarzem w kościele w Sofii, doszła do niej wieść o tragicznym wypadku, a nieszczęśliwy pan młody wprost z kościoła udał się na policję. Wymierzą mu jednak na pewno niewielką karę, gdyż śmierć matki była raczej nieszczęśliwym wypadkiem, niż zbrodnią.

Pewien właściciel ziemski z okolicy Novarry we Włoszech północnych podjął niedawno z banku 100.000 lirów, by spłacić terminowe zobowiązanie. Wróciwszy do domu włożył pieniądze do swej szkatułki nie zamkniętej jej. Następnego dnia zauważył ze zgrozą brak dwudziestu banknotów tysiąc lirowych. Początkowo myślał on, że ktoś dopuścił się kradzieży jego pieniędzy. Przypadkiem dowiedział się jednak od towarzysza zabaw swego czteroletniego synka, że ten daje swoim kolegom banknoty tysiąc lirowe za co otrzymał od nich zabawki i owoce. Szczęściem w nieszczęściu mógł jednak właściciel otrzymać z powrotem swoje tysiące.

W Paryżu został rozwiązany dobrowolnie klub ludzi, którzy ważą 100 kg a nawet więcej. Do tego klubu mogli należeć ludzie, którzy ważyli ponad 100 kg. Jeden z członków, a był nim sam przełożony, nie spełnił tego podstawowego warunku, gdyż ważył tylko 98 kg. Ale ponieważ był dawniej ministrem zamykano więc na to oczy. Najlepiej wypełniał swoje zadanie właściciel lokalu stowarzyszenia, były kucharz, nazwiskiem Paul Sutti. Ważył on 200 kg, był więc okazem tego zjednoczenia. Restauracja jego znajdowała się naprzeciwko kościoła św. Ambrożego. Wojna jednak rozprószyła na wszystkie strony różnych członków, tak że stowarzyszenie w końcu musiało zostać ostatecznie rozwiązane.

Benares, położone na lewym brzegu Gangesu, było uważane za święte miejsce już w czasach przedhistorycznych, od 6 stulecia przed Chr. do 3 stulecia po Chr., było główną siedzibą buddyzmu, i od tego czasu uchodzi za ośrodek religijny wszystkich wyznań hinduskich.

Ze wszystkich stron Indii napływają do świętego miasta pielgrzymi, rok rocznie kilka milionów ludzi, aby wykąpać się w Gangesie i w ten sposób — według swej wiary — obmyć się z grzechów. Starzy Hindusi chętnie oczekują w Benares swej śmierci pragnąc, by szczątki ich zwłok po uprzednim spaleniu dostały się do świętej rzeki. Największe zainteresowanie cudzoziemca budzi wybrzeże rzeki, w dzielnicy tubylców, długie na 5 km, gdzie długim szeregiem jedno za drugim ciągną się niezliczone miejsca kąpielowe najrozmaitszych sekt, kast i szczepów hinduskich zwane „ghats". Dookoła szerokich, prowadzących do kąpieli schodów, liczących niejednokrotnie 80 do 100 stopni skupiają się świątynie, kapliczki i pałace pochodzące po większej części z 18 i 19 stulecia o najrozmaitszych dziwacznych kształtach, rozmieszczone bez jakiegokolwiek planu, wywierające jednak w całości imponujące wrażenie. Potężna rzeka stanowi ustawiczne niebezpieczeństwo dla brzegów, podmyte przez nią miejsca zapadają się od czasu do czasu, niejednokrotnie widzi się też zapadnięte budowle. Najbardziej ożywiony ruch panuje w godzinach porannych. Już przed świtem nadchodzi tłumnie tysiące kobiet i mężczyzn, by w chwili gdy wschodzące słońce pokonuje mglę-demona wziąć świętą kąpiel. Bramini i ludzie znakomitego pochodzenia przybrani w kosztowne szaty dokonują pewnych ceremonii i szepczą modlitwy. Prości ludzie, których cały ubiór stanowi jedynie opaska dokoła bioder odprawiają mniej ceremonii. Z największą powagą stoją w wodzie i polewają sobie ręką lub małym kubkiem głowę i ramiona, lub zanurzają się cali.

Z budowli religijnych największym uznaniem cieszy się Złota Świątynia, godnymi uwagi jest również meczet Murangzep i uniwersytet Hinduski. Osobliwością „świętego miasta" jest palenie zwłok, które odbywa się przede wszystkim w Pari Iasai Ghat, na brzegu Gangesu. Popiół i niespalone części zwłok — przy uboższych Hindusach oszczędza się zwykle na drzewie — zostają po ceremonii spalenia wrzucone do „świętej rzeki".



Palenie zwłok na brzegach Gangesu w Pari Fasai Ghat. Popiół i niespalone reszfki zwłok wrzuca się następnie w fale „świętej rzeki".

BENARES

„ŚWIĘTE MIASTO" NAD GANGESEM

Fot. Atlantic



Miasto Benares ciągnie się nad rzeką na przestrzeni 5 km. Oto wycinek z dzielnicy tubylców, z miejscami kąpielowymi różnych sekt i kast.



Powyżej widzimy meczet Murangzep w Benares, który niezwykłością swego stylu zwraca zawsze uwagę cudzoziemców.

Poniżej — pałac maharadży z Benares.



Każdy czci swego boga najlepiej jak umie i każdemu jego religia wydaje się najlepszą i jedyną, przez którą może osiągnąć wieczną szczęśliwość. Jeżeli w ogóle wyznaje wiarę w życie pozagrobowe. Wszystkie jednak religie tę wiarę wyznają, w człowieku i w świecie samym tkwi bowiem tajemnica, której ludzkim rozumem i doczesnością naszego bytu wytłumaczyć sobie nie potrafimy. Toteż i hindusi, bardziej niż wyznawcy innych religij wschodu wierzą w nieśmiertelność duszy i zwyczaje ich są właśnie tego wyrazem.



Tuż pod Nowym Jorkiem znajduje się na wyspie Long Island mierzeja Coney Island, miejsce zabaw Nowojorczyków. Co wieczór napływają przez drzwi obrotowe, prowadzące na plac zabaw setki tysięcy ludzi, którzy za kilka centów urozmaicają sobie pełne trosk życie bezrobotnych. Jak zwykle dominuje na tym olbrzymim placu rozrywkowym „pokaz cielska", człowiek bowiem dostarcza w tych czasach, gdzie miliony żyją z żebractwa, najtańszego widowiska.



...obchodzić się równie dobrze z lassem jak i grać w „Basket-ball".

RAJ ZMYSŁÓW

NOWY JORK BAWI SIĘ NA CONEY ISLAND

Fot. Ass. Press

Za 25 centów można tu podziwiać dziewczęta z „Nude ranch" („goła rancha"), które wprawdzie mają na głowach kapelusze à la Tom Mix, i na nogach buty z ostrogami, poza tym jednak są „nieosiodłane".





Znają się one doskonale na zabawie „Badminton", potrafią rzucać podkowami do celu, i...

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 29 (32)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 29 (32).

Mgr. Ed. Arłamowski („Kurier szachowy" 1931) in memoriam ś. p. L. Barańskiemu.

Czarne: Kd6, Wg3h1, Ge2f8, Sc1h3, piony: c4, d4, e6, e7, f4 (12).

Białe: Kg1, Ha5, Se5g2, piony: a3, e3 (6).

3-chodówka. 6+12=18.

Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 29 (32).

S. Kozłowski („Świat szachowy" 1931).

Czarne: Ka4, Gb4, piony: a6, b6, g4 (4).

Białe: Kb2, Ge1, Sf4, pion: h3 (4).

Końcówka (+) 4+5=9.

Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 28 (31) (Izwolski): 1. K–b5 (grozi 2. S×e6 K–d7 3. S×c5. ×.) I. 1... f×e5 2. H×e5 K×f8 (jakk.) 3. H–h8. ×. (H–b8. ×.) II. 1... b6 2. K–c6 i 3. ×

B. DZIAŁ PARTII

PARTIA Nr. 56 (59)

Białe: Capablanca — Czarne: Czerniak

grana na Olimpiadzie w B. Aires 1939

Obrona Caro—Kann

1.	e4	c6	19.	Sf×d4	S×d4
2.	d4	d5	20.	S×d4	0–0
3.	e×d5	c×d5	21.	W–d1	S–d5(5)
4.	c4	S–c6	22.	G–f3	S–f4
5.	S–f3	G–g4(1)	23.	K–h2	e5(6)
6.	c×d5!	H×d5	24.	S–f5	g6
7.	G–e2	e6	25.	S–e3	S–e6
8.	0–0	S–f6	26.	S–d5	H–a3
9.	S–c3	H–a5	27.	W–d3	H–a1
10.	h3	G–h5	28.	W–d1	H–a3
11.	a3	W–d8(2)	29.	W–d3	H–a1
12.	g4	G–g6	30.	H–d2	K–g7
13.	b4	G×b4		H–e2	f6
14.	a×b4	H×a1	32.	H–e3	a6
15.	H–b3	W×d4(3)	33.	W–d1	H–b2
16.	G–a3	G–c2	34.	S–c3	–d4(7)
17.	H×c2	H×a3	35.	W–b1	H–c2
18.	S–b5	H×b4	36.	G–e4!	

Czarne poddały się.

UWAGI:

(1) 5...S–f6! lub e6.

(2) 11...G–e7!

(3) 15...S×d4? 16. S×d4! ;16. H–c4? H×c3!?

(4) 20...H×d4 21. W–d1

(5) 21...W–d8 22. H–c7

(6) 23...H–d6 24. S–e2 H–e5 25. S×f4 H×f4 26. K–g2, poczym W–d7.

(7) 34...b5 35. W–d7† W–f7 36. W×f7† K×f7 37. G–d5!



ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Józio wraca po dłuższej podróży do domu i wita się bardzo czule z narzeczoną. Piesek jej szczeka przy tym z wściekłością.

— Fifi jest zazdrosna — śmieje się ona — gdy mnie kto całuje zawsze szczeka.

W tym momencie wchodzi matka do pokoju:

— Klaro, wszyscy lokatorzy skarżą się, że twój pies w ostatnich tygodniach tak często szczeka.

*

Kazia szlocha: — Nie chcesz mi kupić nowej sukni, mężusiu?

— Masz przecież dziesięć starych jeszcze całkiem porządnych.

— Zobaczysz, że będę musiała wyjść nago na ulicę!

— Bardzo proszę, wyjdź.

— Chciałabym wiedzieć co byś zrobił, gdybym wyszła goła?

Czuły mąż zaczyna się śmiać: — Co bym zrobił? Chodziłbym z talerzem dokoła i zbierał pieniądze.

*

Zbaczy pomysł
(Söndagsnisse-Strix, Szwecja)

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Jemioł i profesor cncą uratować Elżbietę, która przed kilku laty doprowadziła Jemioła do upadku.



Tamara Wiszniewska, znana nam już z wielu innych filmów, w głównej roli.



Zdeklasowanego artystę i kompozytora, pijaka, uratował dobry profesor Wilczur i ustanowił go wykonawcą swego testamentu.



Helena Grossówna jako Bronka pomaga wykryc sprawców kradzieży.

Ostatnia część „trylogii" Dołęgi-Mostowicza — „Testament profesora Wilczura" będzie się publiczności podobała tak samo jak dwie pierwsze. Występują w niej postacie z poprzednich filmów, a więc przede wszystkim zdeklasowany kompozytor Jemioł (Jerzy Kaliszewski), który tu gra rolę pierwszorzędną, i następca profesora Wilczura, którego gra Węgrzyn. Role kobiece odtwarzają Tamara Wiszniewska i Helena Grossówna. Treścią filmu jest testament prof. Wilczura, który w celu podniesienia lecznictwa na wsi, stworzył przed śmiercią fundację swego imienia. Testament wprowadza w czyn Jemioł, którego zaczyna jednak ścigać przeszłość. Jego kamraci szantażują go i domagają się za milczenie pieniędzy z fundacji. Jemioł naturalnie odmawia, jednakże pieniądze znikają a podejrzenie pada na niego. W pogoni za złoczyńcami Jemioł traci życie rehabilitując swoją pamięć.

Fot. FIP.

TESTAMENT PROF. WILCZURA